

## Marzena z gór i znad morza

Superbohaterką tej historii jest Marzena, mieszkanka Piwnicznej-Zdroju na Sądeckczyźnie, od niemowlęctwa marząca o bażynowych wrzosowiskach na wybrzeżu Bałtyku. „Niechbym tam – myślała – i bez jedzenia, i bez picia była, bylebym mogła studiować filologię polską w Szczecinie i poznać jakiegoś marynarza, herkulesa oceanów, eksplorującego na trawlerze Morze Południowochińskie!”. Nieustannie prosiła ojca o zgodę, aż w końcu huknął poirytowany jej nużącymi narzekaniami na życie Sądeczanki: „A jedźże już sobie w te morskie odmęty!”. Potem, dla uspokojenia nerwów, zatrafił na szerniałej trombicie.

Więc Marzena hop-siup! – pojechała! W Szczecinie na próżno szukała plaży i morza, ale tuż-tuż obok swojego mieszkania znalazła zachwycające miejsca: Jasne Błonia, Bramę Portową i basztę Siedmiu Płaszcy, i pomnik Sediny, i muzeum Centrum Dialogu „Przełomy”, a nade wszystko cud-budynek szczecińskiej filharmonii. Dalibóg, nie spodziewała się tak radykalnej odmiany swego ponadsiedemnastoipółletniego życia.

Rok akademicki rozpoczęła w euforii, bo nie tylko studiowała arcyciekawą polonistykę, ale też w pubie vis-à-vis akademika poznała pół Amerykanina, pół Azjatę, niesfrancuziałego jak większość tych niby-herosów studenta Akademii Morskiej. Nowo poznany był wegetarianinem uwielbiającym żętycę, smakoszem jarmużu, marchwi, cukinii, dyni, cykorii i szalwii. Ponadto na każde śniadanie pożerał małże, przegrzebki, a nawet słodkowodne szczeżuje i skójki unurzane w oliwie. Notabene, nie pozwalał Marzenie spożywać pizzy i cheeseburgerów z lokalnego McDonalda. „Ależ to fantastyczna i nisko-, i wysokobiałkowa dieta cud – myślała Marzena – chapeau bas!”.

Nierzadko przemierzali wszere i wzdłuż zszarzałe portowe uliczki albo słuchali rockandrollowych koncertów na Nabrzeżu Wieleckim. Jednak pewnego dnia, patrząc w szarobłękitne oczy narzeczonej, hiperprzystojny quasi-marynarz wyszeptał: „Adieu!”. I rozplynął się w nieprzeniknionej mgle...